

VIKTOR ARNAR

INGÓLFSSON

TAJEMNICA

WYSPY FLATEY

Tytuł oryginału: Flateyjargáta

Tłumaczenie: Jacek Godek

Korekta językowa: M.T. Media Magdalena Tytuła

ISBN: 978-83-283-2631-6

Copyright © Viktor Arnar Ingólfsson 2002

Title of the original Icelandic edition: Flateyjargáta

Published by agreement with Forlagið, www.forlagid.is

Polish edition copyright © 2016 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

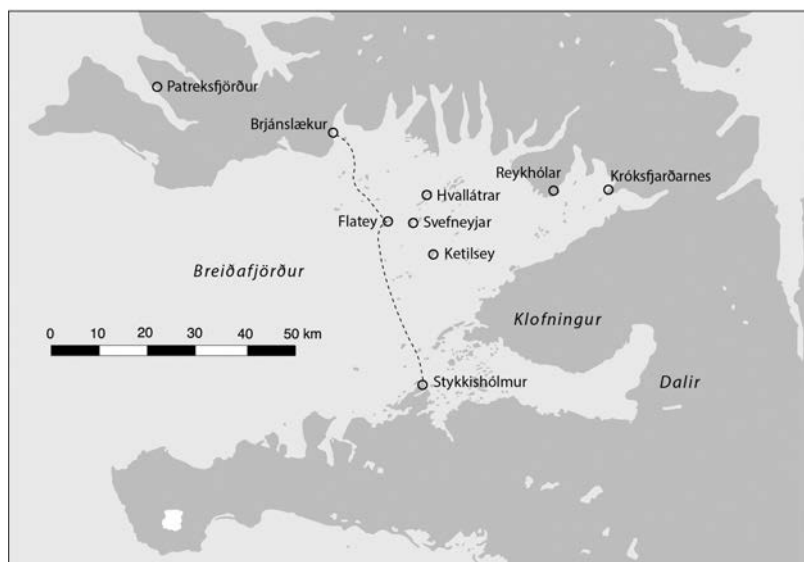
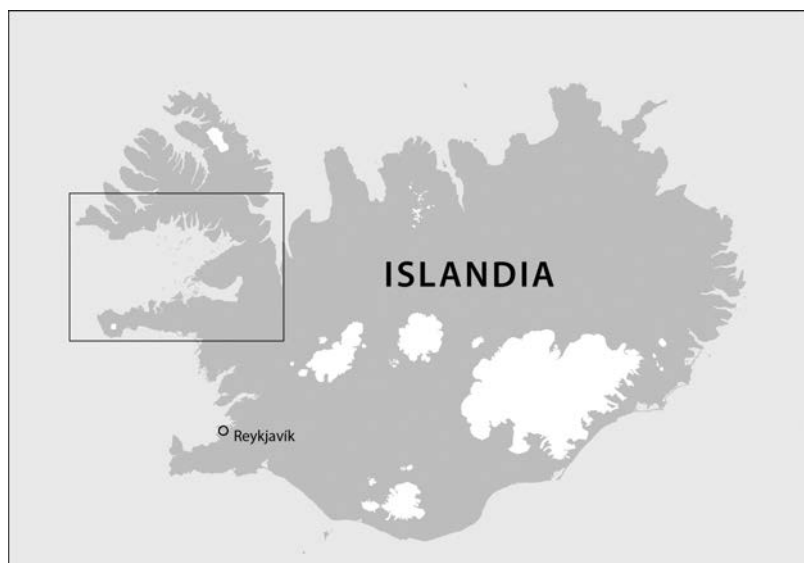
e-mail: editio@editio.pl

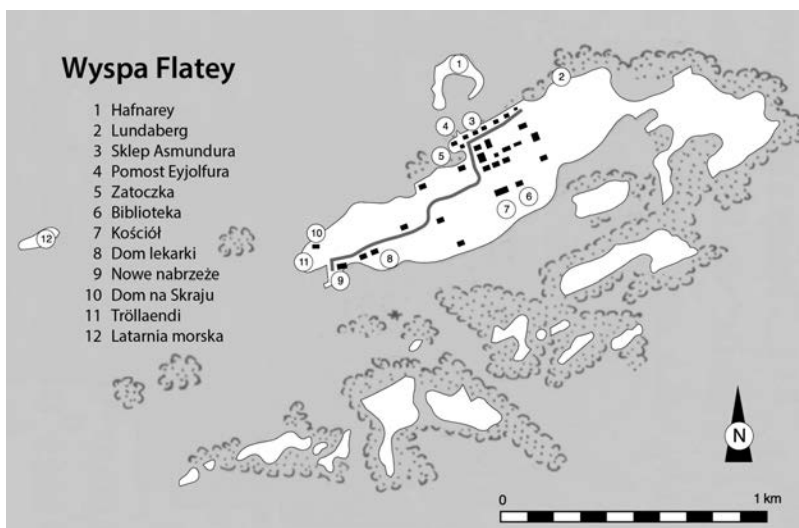
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność





Wyspą Flatey na zatoce Breiðafjörður kilkakrotnie posłużono się jako scenografią do filmów i zawsze była miejscem zastępującym inne osady. Tym razem wykorzystuję ją jako tło opowieści pod własną nazwą, gdyż akcja niniejszej historii dzieje się na wyspach zatoki Breiðafjörður w roku 1960.

Zapożyczam przyrodę, ptactwo, foki, ryby, wiatr, flautę, zapachy i dźwięki. Jak również stateczki i pirsy, domy i kury, krowy i przydomowe ogródki. Ale nie ludzi. Postaci pojawiające się na tych kartach nie mają swoich odpowiedników wśród mieszkańców archipelagu tamtych lat. Jeśli ktoś uważa, że zachodzi jakiekolwiek podobieństwo do istniejących osób, jest to wyłącznie niefortunny przypadek. Wydarzenia tu opisane są najczystszej wody fikcją.

Niemniej dziękuję mieszkańcom wysepek, żywym i zmarłym, za wypożyczenie mi tej scenografii.

Wielebny Hannes stał przy oknie w salonie swojego domu i obserwował ruchy po drugiej stronie zatoczki. Chłopiec, którego wysłał z wiadomością, zniknął mu z oczu już jakiś czas temu, ale pastor nie miał żadnego dowodu, że wiadomość dotarła do odbiorcy.

— Może sam powinienem iść porozmawiać z Grimurem — zastanawiał się nerwowo w obecności małżonki, która siedziała w wygodnym fotelu za jego plecami i wyszywała biały obrus.

Alfridur oderwała wzrok od robótki, spojrzała na niego znad okularów i potrząsnęła zdecydowanie głową.

Wielebny przestępował z nogi na nogę.

— Uważam, że władza musi pilnie dostać te informacje — powiedział zmartwiony.

— Nie, nigdzie nie pójdziesz — uparła się pastorowa. — Nie ma takiej możliwości, żebyś brodził w błocie koło Grimurowego baraku — dodała.

— Jak nie pada, to na brzegu przy odpływie nie jest tak źle. Mogę włożyć moje stare gumowe ochraniacze — upierał się duchowny.

— A pamiętasz, jak się wtedy, w słotę, poślizgnąłeś i zniszczyłeś spodnie?

Wielebny Hannes pamiętał, więc odpuścił. Zauważył też, że brzegiem po tamtej stronie zatoki sunie niosący ciężkie wiadro przedstawiciel prefekta, a za nim podąża mały Svenni.

— A oto i przedstawiciel. Mam nadzieję, że idzie do nas. Ale wójta nie widzę. Widocznie jest zajęty.

Alfridur kręciła głową, mamrocząc.

— Myślę, że najlepiej będzie, jak powiesz o tym przedstawicielowi prefekta. Jest ważniejszy. I też nie chciałabym przyjmować u nas w domu nieumytego Grimura. Nie przystoi, żeby urzędnik nosił się jak flejtuch, a on sobie na to pozwala.

Wielebny Hannes postanowił zostawić to bez komentarza. Jego żona urodziła się i wychowała w Reykjavíku i najwyraźniej nie mogła pogodzić się z tym, że na wyspie ciężko pracujący ludzie myli się dopiero wieczorem, kiedy już zabezpieczyli jedzenie dla swoich bliskich. Sam bardzo lubił tych dwóch towarzyszy: wójta Grimura i nauczyciela Högniego, i starał się jak najczęściej ich widywać. Zawsze mógł się spodziewać jakiejś ciekawej opowieści albo przyjemnej rozmowy. To jasne, że czasem roztańczyli mało piękną woń po całym dniu pracy, ale na wsi to nie raziło. Wielebny został wychowany w Dalir, ale nigdy nie odważył się zdradzić małżonce, że po prostu lubi zapach obory.

— Tak, pewno masz rację — odezwał się w końcu. — Przedstawiciel zdaje się godnym zaufania i dobrze wykształconym człowiekiem. On pewno będzie wiedział, co należy zrobić. To jest poważna sprawa.

Pastor wyszedł i czekał na gościa pod ścianą domu. Ten wreszcie się zjawił.

— Mam nadzieję, że przyszedł pan spotkać się ze mną — powitał go wielebny.

— Tak, przysłał mnie wójt. Poprosił, żebym przyniósł pańskiej małżonce kilka kawałków świeżego mięsa foki — powiedział Kjartan i podał duchownemu białe metalowe wiadro pełne surowego mięcha.

— Bogu niech za to będą dzięki. Błogosławiony ratunek, jaki Bóg i ocean niosą człowiekowi — wyrecytował wielebny Hannes i wziął od przybysza wiadro. Potem zaprosił Kjartana do pakamerki, w której zwykł przyjmować swoich parafian, a wiadro zostawił w maleńkiej spiżarni w sieni.

— Bardzo jestem zaszokowany, bardzo zaszokowany. — Wielebny Hannes nalał kawy z termosu do dwóch filiżanek przygotowanych wcześniej na biurku.

— Tak? — Kjartan wziął od niego filiżankę.

— No tak, byłem dziś w sklepie i zobaczyłem wasze oficjalne ogłoszenie. Poszedłem sprawdzić, czy ogłoszenie o niedzielnej mszy aby na pewno wisi na swoim miejscu.

— I? — zapytał Kjartan.

— Tak... hmmm. Wydaje mi się, że wiem, kim jest nieboszczyk.

— Tak?

— Tak, niech mnie dunder świśnie. To na pewno jest profesor Gaston Lund z Kopenhagi we własnej osobie.

— A dlaczego pan tak przypuszcza?

— To trochę dłuższa historia. Profesor przybył tu z Reykholar na początku września zeszłego roku, razem z sezonowymi robotnikami, którzy na lądowych wyżynach zbierali jagody. Przekazał mi pozdrowienia od wielbego Veigara z Reykholar i poprosił o nocleg i wikt na dwie noce, co było oczywiście zrozumiałe. To był najwyraźniej człowiek z wyższych sfer.

Wielebny zdjął pokrywę z patery z ciastem i poczęstował Kjartana.

— Proszę. Owsiane racuchy z cukrem.

— To znaczy, że on był Duńczykiem, powiada wielebny? — Kjartan poczęstował się racuszkami.

— Tak, jak najbardziej. Był profesorem Uniwersytetu Kopenhaskiego. Całe lato podróżował po historycznych miejscach związanych z *Flateyjarbok*, a dokładnie z *Sagą Olafa Haraldssona* i *Sagą Olafa Tryggvasona*, w Norwegii oczywiście. A potem przyjechał tu na krótki rekonesans, jak zrozumiałem. Najpierw odwiedził Skalholt, gdzie onegdaj pełnił posługę biskup Brynjolfur. Potem zawędrował na północ do Vididalstungi, gdzie w istocie napisano i złożono manuskrypt. Potem udał się do Reykholar, gdzie przez jakiś czas rękopis przechowywano, a wreszcie trafił na Flatey. Doskonale rozumiał, że nikt nie może tytułować się ekspertem w dziedzinie naszej księgi, jeśli nie odwiedził miejsca, od którego księga wzięła nazwę. Chciał też zmierzyć się z prastarą zagadką, *Aenigma Flateyensis*, ale do tego jeszcze dojdę. Stąd pojechał wprost do Reykjavíku, żeby zdążyć na samolot do Kopenhagi. Miał się stawić na jakimś bardzo ważnym spotkaniu związanym ze sprawą rękopisów, a zaraz potem oczywiście zacząć wykłady.

— To w jaki sposób znalazł się na Ketilsey? — zapytał Kjartan.

— Tego zupełnie nie rozumiem. Pożegnał się ze mną, kiedy miał przybyć statek pocztowy, i poszedł na nabrzeże na tyle wcześniej, aby zdążyć się nim zabrać.

— A skąd wielebny wie, że to on?

— Powinienem był go rozpoznać po opisie ubrania, ale jak się człowiek spodziewa, że on przebywa w Kopenhadze, to mu nawet coś takiego

do głowy nie przyjdzie. Ale to ten karteluszek z cytatem z *Flateyjarbok* mnie przekonał. Najprawdopodobniej to mój charakter pisma.

— Tak? — Kjartan wyjął kartkę z portfela, w którym ją umieścił poprzedniego wieczoru, i podał pastorowi.

Wielebny wziął od niego karteczkę, obejrzał ją dokładnie i skinął głową.

— Zdarzało się, że i wcześniej przyjmowałem zagranicznych turystów, którzy wędrowali śladami naszej *Flateyjarbok* — powiedział. — Dlatego też starałem się dokładnie poznać historię manuskryptu i jednocześnie wyrobiłem sobie własne opinie o jego dziejach. Stawiano teorie, że to mieszkaniec Flatey Jon Finnsson słowami znajdującymi się na tej kartce przypisał sobie tytuł własności książki, przede wszystkim po to, by pozbyć się wątpliwości co do prawa do dziedziczenia. Ja jednak uważam, że napisał to w manuskrypcie, ponieważ wypożyczył go kiedyś do Skalholt, o wiele wcześniej niż ten trafił w ręce biskupa Brynjolfura. Jestem też przekonany, że Jon Finnsson chciał ponownie pożyczyć rękopis Brynjolfurowi podczas wizytacji, w przekonaniu, że wróci do niego, jak skończą przepisywać treść i badać księgę. W przeciwnym razie byłby własnoręcznie napisał, że oddaje egzemplarz, zaraz za tym oświadczeniem własności. Człowiek nie oddaje swoich skarbów, chyba że za pisemnym aktem darowizny. Tak było kiedyś i tak jest teraz. No i to wszystko objaśniłem profesorowi i napisałem mu ten tekst na kartce. Nie zgadzaliśmy się bowiem co do tego, czy Duńczycy powinni oddać nam naszą własność. On był temu bardzo przeciwny i zbierał materiał do artykułu wspierającego jego zdanie. Niemniej sędzę, że udało mi się skłonić go do wysłuchania moich racji. Uważam, że rękopis *Flateyjarbok* jest własnością spadkobierców Jona Finnssona albo narodu islandzkiego.

Kjartan z powątpiewaniem słuchał tego wykładu.

— Ale przecież z pewnością zaczęto by go poszukiwać w Kopenhadze. Dlaczego go nie szukano? — dziwił się.

— Tego właśnie nie rozumiem. Napomknął coś wprawdzie, że nie chce wzbudzać swoją podróżą żadnej sensacji, i unikał spotkań ze swoimi islandzkimi kolegami po fachu i znajomymi. Ten spór o prawo do rękopisów to dość delikatna sprawa, a on chciał uniknąć oficjalnych sporów podczas pobytu w Islandii. Profesor Lund jest bowiem jednym z najbardziej nieprzejednanych przeciwników naszej sprawy. Możliwe więc, że

nikt w Kopenhadze nie miał pojęcia, że on chce tu przyjechać. Jest samotny i podczas podróży nie kontaktował się z nikim w Danii.

— Znał islandzki? — zapytał Kjartan.

— Tak, tak. Rozumiał niezłe język mówiony, radził też sobie z czytaniem i pisanem. Mówił dość pokracznie, jak większość Duńczyków, ale w podróży doskonale dawał sobie radę.

— A co to za zagadka, o której wielebny raczył przed chwilą wspomnieć? — dociekał Kjartan.

— To tak zwana *Aenigma Flateyensis*. Coś na kształt krzyżówki. Towarzyszyła reprintowi *Flateyjarbok*, który trafił do nas w 1936 roku, w setną rocznicę powstania biblioteki. Karteczki wciąż leżą luzem między kartami księgi, bo zdecydowano, aby ich nie usuwać z biblioteki ani nie kopiować klucza do rozwiązania. Co jakiś czas zjawiają się tu goście próbujący ją rozwiązać. Tylko jak na razie nikomu się to nie udało. Kilka wskazówek jest dość niejasnych, a klucz zupełnie niezrozumiały.

— A dlaczego ten człowiek usiłował rozwiązać zagadkę?

Wielebny Hannes uśmiechnął się pod nosem.

— Profesor jest, czy też raczej był, członkiem akademii naukowej w Kopenhadze. Raz w tygodniu spotykają się w słynnym lokalu Det lille Apotek. Członków dzieli się na dwa rodzaje. Mający ewidentne osiągnięcia w naukach humanistycznych zasiadają na ławie pod ścianą, tak że widzą cały lokal. Pozostali siedzą w przejściu i zdarza się, że kelner obleje ich piwem. Profesor miał nadzieję rozwiązać zagadkę i trafić do pierwszej grupy.

— Udało mu się?

— Nie wiem. Nie chciał o tym rozmawiać. Zmieniał temat. Ale podejrzewam, że miał zamiar pochwalić się tym po powrocie do Kopenhagi. Trudno powiedzieć. Dał mi odpis swoich odpowiedzi, ale nie mam pojęcia, czy pasują do klucza.

Wielebny Hannes otworzył szufladę w biurku, wyjął z niej złożoną kartkę i podał Kjartanowi.

— Proszę bardzo. Uważam, że ta kartka powinna się znaleźć u pana.

Kjartan wziął kartkę i dobrze się jej przyjrzał. Zdania skreślono po duńsku i islandzku pismem niełatwym do odczytania.

— Muszę zadzwonić do stolicy i zapytać, czy to mogą być zwłoki profesora — powiedział. — No i wielbny będzie musiał zajrzeć do skrzyni, żeby stwierdzić, czy to ta sama odzież, w której swego czasu go pan widział. Samego ciała nie da się rozpoznać.

Wielbny Hannes drżącą ręką podniósł filizankę do ust.

— Tak, pewno będę musiał to zrobić — przytaknął.

— Ale czy to możliwe — kontynuował Kjartan — że wypadł za burtę statku pocztowego i dopłynął do Ketilsey?

— Uważam, że to nieprawdopodobne. Wyspa leży kawał drogi od szlaku żeglugowego.

— A prąd jest silny?

— Tak, bez wątpienia, ale nie znam się na tym. Musi pan zapytać rybaków.

— I kiedy od pana wyjechał?

— Czwartego września. Sprawdziłem w kalendarzu. Pamiętam, że tego samego wieczoru nadali w radiu wiadomość o rękopisach.

— Nie miał bagażu?

— Mały neseser podręczny na kilkudniową wyprawę, przybory toaletowe, bieliznę na zmianę i tak dalej. Aparat fotograficzny i małą lornetkę. O ile pamiętam, powiedział, że walizkę zostawił w przechowalni w Reykjavíku.

Kjartan podniósł kartkę spoczywającą między nimi na biurku.

— Co znaczy to, co jest napisane na kartce? „*Folio 1005*”?

— To sygnatura *Flateyjarbok* w rejestrze Kopenhaskiej Biblioteki Królewskiej. Pamiętam, że Lund dopisał to na kartce, którą mu dałem, a potem schował ją do kieszeni.

Kjartan odwrócił kartkę.

— Wielbny wie może, co oznaczają te litery na odwrocie? — zapytał.

Pastor obejrzał kartkę.

— Nie. Napisał to, jak już go tu nie było. Ale przypomina to sekwencję liter będących kluczem do zagadki. Wiedział, że nie wolno przepisywać klucza. Po tym, jak dałem mu tę kartkę, na pewno nie poszedł do biblioteki.

Kjartan zanotował sobie: „Gaston Lund z Kopenhagi, czwarty września”.

— Pójdę na pocztę i zadzwonię do ambasady duńskiej — powiedział i wstał.

Wielebny Hannes odprowadził go do drzwi i pożegnał, a potem wrócił do salonu do żony.

— Sprawa jest w dobrych rękach — oznajmił. — Najbardziej się boję, że będę musiał spojrzeć na zwłoki w trumnie. Bardzo tego nie lubię.

Wyjrzał przez okno. Długo gdzieś patrzył, zanim powiedział:

— Pamiętam, jakby to było wczoraj, kiedy Lund nas opuszczał. Odprowadziłem go do drzwi i pożegnałem uściskiem dłoni. Obiecał, że do mnie napisze. Miałem podejrzewać, że coś jest nie tak, kiedy nie dostałem listu?

Pastorowa odłożyła robótkę.

— A ty do niego napisałeś? — spytała.

— Nie, po prawdzie nie napisałem. Spodziewałem się raczej dostać list od niego.

Kobieta zamyśliła się,

— A może jechał do nas z drugą wizytą, kiedy Bóg Wszechmogący go do siebie powołał?

Pastor potrząsnął głową.

— Nie wiem, ale ciągle go widzę, jak idzie w górę ulicy ze swoim małym neseserkiem. Wyszedł tak wcześnie, żeby zdążyć na statek, bo chciał jeszcze wstąpić do doktor Johanny po tabletki na chorobę morską. Bał się rejsu, bo pogoda robiła się coraz gorsza.

Patrzył w milczeniu przez okno, a potem powiedział cicho do siebie:

— Jak on, na Boga, znalazł się na Ketilsey?

— ...*Liternictwo średniowieczne zwiemy liternictwem karolińskim i przyszło ono do nas z Norwegii i Anglii, ale z rozmaitymi suplementami, aby zaspokoić potrzeby staronorweskiego. Nad długimi samogłoskami pojawiły się kreski, doszły nowe litery. Z angielskiego þ i ð...*

...*Pismo we Flateyjarbok nosi cechy indywidualne skrybów, czyli Jona i Magnusa. Jon w większości napisał pierwszą część, a Magnus drugą. Z charakteru pisma można wyczytać więcej. W czterech miejscach pierwszej części za pióro chwycił człowiek nieznan i raczej kiepsko piszący. Pewno działało się to wtedy, kiedy Jon ostrzył pióro, bo pismo Jona jest przeważnie cieńsze zaraz za pismem nieznanym niż przed. To nie był jakiś stajenny*

z Vididalstungi, który postanowił spróbować swoich sił w pisaniu. Ksiądz by na to nie pozwolił. Pewno był to ktoś, kto mógł się księdzu postawić, a może nawet sam Jon Hakonarson? Myślę, że to całkiem możliwe...

...Pismo Magnusa Thorhallssona i jego opisy we Flateyjarbok to jedna z piękniejszych rzeczy w średniowiecznych islandzkich manuskryptach. Można sądzić, że ten artysta był bardzo pożądanym skrybą i sporządził wiele rękopisów. Zabierając się za Flateyjarbok, miał już sporą praktykę. Jego kreskę i rękę widać tylko w kilku słowach w dwóch innych manuskryptach. Można przypuszczać, że wielkie dzieło życia zostało zmarnowane...

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA



Helion SA

Islandzka wiosna roku 1960. Zapach morza, krzyk ptaków, foki, ryby, przenikliwy wiatr. Wśród burzliwych wód zatoki Breiðafjörður, wśród skał i tysięcy małych wysepek znajduje się Flatey, na której wieki temu wybudowano maleńką osadę. Z dala od zgiełku wielkich miast mieszkańcy żyją tu w spokoju, w ciszy, bez pośpiechu i w zgodzie z rytmem natury. Małomiasteczkowej sielanki osady nic nie zakłóca — aż do chwili znalezienia zwłok na jednej z okolicznych wysepek.

Już wkrótce Kjartan, którego zadaniem jest wyjaśnienie tej śmierci, uświadamia sobie, że w tej sprawie nic nie jest jasne. Jak się okazuje, mieszkańcy wyspy mają swoje głęboko skrywane tajemnice, które w zadziwiający sposób łączą się ze znalezionym ciałem. Śledztwo zatacza coraz szersze kręgi, a kluczem do rozwiązania zagadki wydaje się średniowieczny manuskrypt: księga *Flateyjarbók*, zbiór sag i eposów o starodawnych wikingach.

Trzymasz w dłoni nietypowy kryminał, łączący w sobie elementy powieści detektywistycznej i liczne nawiązania do świata dawnych wikingów.

Drobiazgowo odmalowane tło historyczne i kulturowe powoduje, że opowieść jest niezwykle realistyczna i już po pierwszych kilkunastu stronach nie można się od niej oderwać. Wiernie oddana atmosfera maleńkiej wyspiarskiej osady, gdzie teraźniejszość przenika się ze światem legend i krwawych mitów, intrygująca księga sprzed wieków, umiejętnie dozowany humor i hipnotyzujące, narastające napięcie — to wszystko składa się na *Tajemnicę wyspy Flatey*!

Viktor Arnar Ingólfsson jest bez wątpienia jednym z najbardziej poczytnych autorów powieści kryminalnych w Islandii. Z wykształcenia jest inżynierem budownictwa lądowego i wodnego, ukończył też studia z zakresu komunikacji wydawniczej i grafiki komputerowej na Uniwersytecie Washingtona w Waszyngtonie. Mieszka wraz z rodziną w Reykjavíku.

NIE ZGASZ
LAMPKI NOCNEJ,
DOPÓKI NIE POZNASZ
TAJEMNICY KSIĘGI...

Patroni medialni:

 **editio**black

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
☞ <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
☞ <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
☞ <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint.PL



ISBN 978-83-283-2631-6



Cena 39,90 zł